

SŁONECZKO

Rok III

Warszawa, 8.VII. 1962

Nr 27

„WIERZĘ W ŻYWOT WIECZNY”

Nasze życie jest kruche i niepewne, mieści się zaledwie w ramach kilkudziesięciu lat. Czy wobec tego warto tak bardzo zabiegać, aby gromadzić przyjemności i bogactwa tego życia? Król Salomon zaznał wszystkich przyjemności tego życia i tak w końcu powiedział: „Mówilem w sercu swoim: Pójdę i zanurzę się w rozkoszach i będę używał dóbr... Wykonałem dzieła wielkie, nabudowałem sobie domów i nasadziłem winnic, naczyniłem ogrodów i sadów i zbudowałem sobie sadzawki dla odwilżania lasów drzew wszelkiego rodzaju; nabyłem sobie sług i służebnic i miałem czeladź wielką. stada też i wielkie trzody owiec. Zgromadziłem sobie srebro i złoto, i namiętności królów i krain; sprawilem sobie śpiewaków i śpiewaczki i rozkosze czynów człowieczych, kubki i czasie; i przeszedłem bogactwami wszystkich; i nic z tego, czego pożałowały oczy moje, nie wzbraniałem im i nie odmawiałem sercu memu...” (Ekl. 2).

A jednak czy był szczęśliwy? — Nie. U schyłku swego życia stwierdza rozczarowany: „I widziałem, że to wszystko marność, marność nad marnościami i wszystko marność”. Pan Jezus z politowaniem nieraz patrzył, jak biedni ludzie zbyt wiele zabiegają o doczesne swoje sprawy.

Patrzył z politowaniem, a nawet z oburzeniem, jak wielu z nich za cel swojego życia uważa tylko tę ziemię i szczęście tu na ziemi.

Do pewnego bogacza, który nagromadził dóbr i wołał: „Duszo moja, masz wiele dóbr złożonych na wiele lat, odpocznijże, jedz, pij, używaj!” — Pan Jezus powiedział: „Szaleńcze, tej nocy zażądadają duszy twojej od ciebie, a to, coś nagromadził, czyje będzie?”

I kończy Pan Jezus surowym napomnieniem: „Tak bywa z tym, który dla siebie zbiera skarby, a nie jest bogaty w oczach Boga“ (Łk. 12, 15–21).

Zapamiętajmy sobie słowa Pisma św. i napomnienia Boże, że dobra ziemskie są niepewne i bezwartościowe. Najważniejsza dla człowieka jest dusza i to wszystko co do duszy i do jej zbawienia się odnosi ma największą wartość, bo nieprzemijającą.

Ks. E. K.

OWCE NA HALACH

*Pasą się owce na halach
Pobrzękują dzwonekami
Niesie się dzwoneków muzyka
Nad szumiącymi smrekami.*

E. DRZEWUSKA

*Nad potokiem się niesie
Zapada w górską ciszę.
Nad skały, gdzie szarotki
„Wiaterecek“ kołysze.*

„SŁONE MORZE”

(Dokończenie)

– Zabieraj z powrotem twój zwiariowany młynek, bo nas wszystkich potopi!

– Nie mam już pieniędzy, żeby ci oddać. Za pieniądze kupiłem coś niecóż do gospodarki.

Czarodziejski młynek wrócił znowu do biednego brata.

Po pewnym czasie przestał on być biednym. Postawił sobie porządne zabudowania, kupił kawał pola i łąkę, miał krowy, parę koni i owce. Ponieważ jego dom stał nad samym morzem i były tam niebezpieczne skały, więc wystawił obok domu latarnię morską, żeby statki się nie rozbiły. Latarnię pokrył złotą blachą, więc i w dzień świeciła z daleka.

Po niedługim czasie stał się sławnym w całym kraju. Wszyscy opowiadali o nim, jego młynku i o latarni. Minęło parę lat.

Kiedyś przyplłynął statkiem nieznajomy.

– Jestem kapitanem okrętu – powiedział przybyły. – Jeżdżę do dalekiego kraju po sól. Przeszedłem wiele niebezpiecznych chwil, kilka razy mój statek omal nie utonął. Chciałbym kupić twój młynek. Kazałbym mu mleć sól dla naszego całego miasta, a wtedy ja i moja załoga nie potrzebowalibyśmy się narażać na burze i napaści korsarzy.

– Rozumiem, że tanio tego młynka nie oddasz, ale powiedz, proszę, swoją cenę.

Gospodarz pomyślał, naradził się z żoną na osobności, potem wrócił do kapitana i powiedział tak:

(c. d. na str. 8)

POTWORY MORSKIE

Do państwa Szubińskich w Warszawie przyjechał pan Rowiński Roman. Pan Rowiński jest marynarzem. W stopniu oficera pływał i pływa po wszystkich morzach i oceanach.

Dzieci państwa Szubińskich — Andrzej i Beatka z wielkim zainteresowaniem przyglądały się złotym naszywkom na mundurze marynarskim.

Po kolacji pan Rowiński zaczął opowiadać o różnych przygodach morskich.

Dzieci przysłuchiwały się z zainteresowaniem smutnym opowieściom morskim.

— A gdzie państwo zamierzają spędzić urlop? — spytał nagle pan Rowiński.

— Chcemy gdzieś wyjechać — odpowiedziała pani Szubińska, ale nie mamy jeszcze nic zaplanowanego.

— W takim razie, jeżeli państwo zyczylibyście sobie, to proszę przyjechać do mnie do Międzyzdrojów. Mam dwa pokoje wolne. Oba jestem gotów wam odstąpić na cały urlop. Będziemy razem wylegiwać się na piasku morskim, jak fokki na wybrzeżu, a przy tym wymoczymy sobie pępki na cały rok. Najwięcej, sędzę ucieszą się z morza małe wasze dzieciaczki.

— Bardzo dziękujemy panu — powiedziała pani Szubińska.

— Nie chcielibyśmy panu sprawić kłopotów.

— Żaden kłopot. To cała przyjemność po mojej stronie będzie.

— Co ty na to? — spytała pani Szubińska zwracając się do męża.

— Ja chętnie przejechałbym się do Międzyzdrojów, bo w tym zakątku Polski jeszcze nie byłem — odpowiedział pan Szubiński.

— Wobec tego, dziękujemy panu za zaproszenie, z którego chętnie skorzystamy — rzekła pani Szubińska uśmiechając się do pana Rowińskiego.

— Bardzo mi miło i niezmiernie cieszę się, że razem spędzimy miesiąc czasu i to u mnie — powiedział pan Rowiński częstując gospodarzy papierosem chińskim.

Gość pałac papierosa opowiada różne ciekawe i wesołe historyjki. Do rozmowy włączyły się również dzieci, którym radość rozpiełała piersi na myśl, że cały miesiąc spędzą nad morzem, nad prawdziwym morzem.

— Pani nam na lekcji opowiadała raz, że w morzach żyją straszne zwierzęta morskie. Nazywają się one „potworami“. Po-

dobno są bardzo niebezpieczne dla ludzi — szepnęła bratu do ucha Beatka.

Andrzej przytaknął głową, że słyszał również o tym.

— A może byśmy się spytali tego pana? — dodała znowu Beatka.

— Dobrze! — odrzekł Andrzej i dziarsko podszedł do pana Rowińskiego.

Pan Rowiński położył rękę na ramieniu chłopca i przytulił go do siebie.

— Andrzej, nie przeszkadzaj! — powiedział ojciec.

— Ja chciałem... — rzekł Andrzej.

— Co chciałeś? — spytała matka.

— Chciałem pana o coś zapytać.

— Nie przeszkadzaj panu — powiedziała matka.

— Słucham cię, Andrzejku — rzekł pan Rowiński.

— Proszę pana, czy to prawda, że w morzu żyją potwory morskie? — spytał Andrzej.

— Prawda Andrzejku, prawda. Jeżeli was to interesuje to wam chętnie opowiem.

Beatka szybko przystawiła sobie krzesło bliżej pana Rowińskiego.

Andrzej opleciony był ramieniem gościa.

— W upalne słoneczne dni — rzekł pan Rowiński — wszystkie nadmorskie miejscowości zaludniają się tysiącami wczasowi-



czów. Nie zawsze jednak morze pozwala na kąpiel. Niestety bowiem pędzą do brzegu rozszalałe fale o jasnych, spienionych grzywach i z łoskotem rozlewają się po szerokiej plaży. W takich chwilach kąpiel morska nie tylko, że nie jest przyjemna, ale jest bardzo niebezpieczna.

Ale niebezpieczeństwo dla kąpiących się nie stanowią tylko rozhukane fale morskie. Niebezpieczeństwo zagraża również ze strony różnych potworów morskich. W niektórych morzach młynarze, a także ludność nadmorska, zachowują w czasie kąpielii szczególną ostrożność. Nieopatrzne oddalenie się od brzegu jakiegoś śmiałka, chociażby na Atlantyku czy Morzu Północnym, skończyć się może tragicznie w paszczy groźnego żarłacza — ludojada. Nawet zetknięcie się w wodzie z niedużą i niepozorną meduzą spowoduje przykre poparzenie ciała, a cóż dopiero można powiedzieć o fatalnych skutkach spotkania z ośmiornicą, która ma bardzo brzydki zwyczaj oplątywać ofiarę swoimi silnie umięśnionymi ramionami.

Paniczny wprost strach wywołują w morzach tropikalnych podobne do naszego szczupaka, lecz znacznie od niego większe, bo sięgają nawet do trzech metrów, a nazywają się barrakudy. Są one o tyle niebezpieczne, że kąpiących się atakują zniemacka, boleśnie raniąc, lub nawet wciągając w głąb wody, gdzie ofiara naturalnie ginie. Również bardzo niebezpieczne nawet dla człowieka są małe, żyjące i napadające gromadnie w wodach rzek Południowej Ameryki piramie. Są to małe rybki — o nadzwyczaj ostrym uzębieniu i świetnie rozwiniętym zmysle węchu. Jeżeli kąpiący się lub przechodzący przez rzekę jakiegoś zwierzę zrani się cośkolwiek, zapach krwi zwabia je natychmiast. Wielkimi gromadami napadają błyskawicznie swoją ofiarę. Swymi bardzo ostrymi ząbkami odgryzają kawałki ciała, niejednokrotnie do tego stopnia, że ofiara zanim dostanie się do brzegu, ginie z utraty krwi i wycieńczenia.

— To ja już nie wejść do morza i nie będę się kąpała! — zawołała Beata.

Pan Rowiński uśmiechnął się i częstując się czekoladą podaną przez panią Szubińską, powiedział:

— Nie obawiaj się, Beatko. Żadne z tych niebezpieczeństw, które wymieniłem w naszym morzu ci nie grozi.

Jest co prawda jeszcze wiele innych stworzeń bardzo groźnych, dla człowieka na przykład jadowite węże morskie, ryby elektryczne czy nawet różnorodne raki uzbrojone w potężne kleszcze, ale żadne z nich w Bałtyku nie żyją.

— Dlaczego? — spytał Andrzej.

— Bowiem dla swego życia wymagają one wód bardziej cie-

plych lub pełnosłonych. Z naszej krajowej fauny morskiej niewielką krzywdę wyrządzić może jedynie, dość rzadko zresztą spotykany, krab wełnistoreki lub też niektóre drapieżne ryby. Sama jednak kąpiel nadbrzeżna w naszym morzu jest pod tym względem najzupełniej bezpieczna. Zresztą, gdyby wam nawet coś zagrażało, to ja z tatusiem będę w pobliżu i w każdej chwili przyszlibyśmy z pomocą.

Beatka zamyśliła się.

— O czym tak myślisz, Beatko? — spytała mamusia.

— Czy nasze morze jest duże? — rzekła Beatka.

— Jako morze jest bardzo małe, bo zaledwie ma 422300 km². Można by powiedzieć, że jest to wielkie jezioro śródlądowe.

— A drugi brzeg można zobaczyć? — spytała Beatka.

— Nie! — odpowiedział pan Rowiński — Brzegu nie widać. Kiedy staniesz na brzegu i spojrzysz na wodę, to zdaje się człowiekowi, że woda sięga aż do nieba.

— Pięknie musi tam być! — szepnęła Beatka.



POZNAJMY SIĘ

Korecki Tadeusz, Bytom, ul. Smolenia 15 m 1;

Niemler Piotruś, Oborniki Śląskie, ul. Wrocławska 17;

Łis Zbigniew, Osada Wandy 26 m 9;

Pawłowski Stanisław, Jasien 25, pow. Ustrzyki Dolne, woj. Rzeszów;

Kubjak Szczepan, Gorzów Wlkp. ul. Przemysława 202, woj. zielonogórskie;

H. Kłapa, Kraków, ul. B. Prusa 1 m 3;

Turek Urszula, Wieprz 431, pow. Wadowice;

Batiuk Jacek, Kraków, ul. Friedleina 32;

Wierdak Stanisław, Łęki Du-

klejskie 413, pow. Krosno n Wisłą, woj. Rzeszów;

Konaszewski Wojtek, Brwinów, ul. Dzierżyńskiego 7, pow. Pruszków;

Lubaszewski Zbigniew, Biała Podlaska, ul. Sitnicka 133;

Mitko Andrzej, Łódź 11, ul. Wrześnienska 102 m 58;

Kudłacik Anna, Wieprz 379, p-ta Wieprz, pow. Wadowice;

Rynkiewicz Tadeusz, Wałbrzych 6, ul. Lampego 497, woj. Wrocław;

Koprowska Maria, Zielona, p-ta Zielona, pow. Żuwołin;

Iwaniec Maria, p-ta Łukowa, pow. Biłgoraj, woj. Lublin;

Swiderek Anna, Częstochowa, ul. Armii Ludowej 67 m 29;

DWIE ZAGADKI ⁽¹⁴⁾

Osad jeziora na budowlach niezbitcie dowodzi, że miasto było zalane przez wodę, i to przez dłuższy okres czasu. Ale jak długo? Nie wiemy ani kiedy nastąpiła katastrofa, ani kiedy ustąpiły wody z terenu Tiahuanaco. W każdym razie XVI-wieczne kroniki hiszpańskie z podziwem wspominają o nim. Europejscy kolonizatorzy z trwogą i zdumieniem spoglądali na zagadkowe budowle, a trzeba wiedzieć, że ich obecny stan jest bardzo, a bardzo uszczuplony. Kolonizatorzy bowiem systematycznie burzyli stare budowle. Czynili to przede wszystkim w poszukiwaniu skarbów oraz celem zdobycia materiałów do budowy nowych osiedli, niejednokrotnie dość odległych. Jeszcze dziś możemy spotkać szczątki dawnych budowli, porozwłózione po całym kraju, a okoliczne wsie, mosty i drogi zostały prawie w całości z nich wzniesione. Burzyciele nie liczyli się z niczym i z nikim, bez skrupułów niszcząc ruiny Tiahuanaco.

Już hiszpańscy zdobywcy znali i podziwiali to miasto i zastanawiali się, kto był budowniczym, jaki lud pozostawił po sobie tak potężne budowle. Okoliczni Indianie odmawiali wyjaśnień — milczeli trwożnie. Jedynie rzymscy mnisi mieli gotowe wyjaśnienie. Ich zdaniem całe skupisko ruin jest dziełem szatana, gdyż tylko diabli potrafili przenosić i ustawiać tak potężne kamienie, a trzeba wiedzieć, że ciężar niektórych dochodzi do 160 ton. W każdym razie z ówczesnych (XVI-wiecznych) kronik hiszpańskich wynika, że kultura Tiahuanaco jest starsza od państwa Inków, że została stworzona przez inny lud. Pozostaje jednak zagadka kto to był, jeśli nie byli to Inkowie.

Tajemnice te próbowano rozwiązać drogą porównań z innymi kulturami — doszukując się podobieństwa w buddyjskim kręgu kulturowym czy syjamskim lub wysuwając wręcz fantastyczne przypuszczenia. Jednakże nie dało to wszystko — jak na razie — zadowalających wyników. Nie będziemy więc zajmować się tymi analogiami, gdyż szczupłe ramy artykułiku nie pozwalają na to, lecz powróćmy jeszcze na chwilę nad brzegi Titicaco.

Mówiliśmy już, że jezioro było niegdyś o wiele większe, lecz dokładne wytyczenie jego pierwotnych granic sprawia nam trudności. Okazuje się bowiem, że od strony Oceanu Spokojnego brak śladów dawnych brzegów jeziora.

– Kiedy zdobyłem ten młynek, byliśmy biedni. Teraz mamy już dobytka aż nadto, nie zaznamy biedy do końca życia, więc słusznie będzie, jeżeli oddamy czarodziejski młynek temu, kto potrzebuje go więcej od nas. Weźcie go, panie, darmo.

Kapitan tak się ucieszył, że pochwycił od razu młynek i pobiegł z nim do swego statku.

Gospodarz wybiegł z domu za nim by mu powiedzieć, jak zatrzymuje się młynek. Ale błądzący marynarz nie słuchał. Bał się, żeby gospodarz się nie rozmyślił. Wbiegł na statek, podniósł kotwicę, rozwinał żagle i odpłynął.

Kiedy znalazł się na pełnym morzu, postanowił od razu wypróbować swój młynek i kazał mu mleć sól. Posłuszny młynek zatrząsł się. zaterkotał i zaczął pracować tak gorliwie, że wnet napelniał kapitanowi skład na dnie statku. Ale sypał sól dalej, choć kapitan próbował go zatrzymać na wszelkie sposoby. Statek zasypany solą byłby zatonał pod ciężarem, więc kapitan z wielkim żalem musiał wyrzucić młynek do morza, żeby się ratować.

Teraz młynek leży na dnie i wciąż miele sól, a fale roznoszą tę sól po wszystkich morzach świata.

Opracowała: ELŻBIETA GOTÓWKA

PRZYGODA W LESIE

Ledwie słonko rąbkiem za-
ledwie wyjrzało zza gór, a
już Basia i Anielka podążyły
och czo w stronę lasu z ko-
szyczkami w rękę. Szedł i
Burlaj, a że był zaspany, da-
wał co chwila susa w mokre
od rosy trawy.

Las przyjął dziewczynki szu-
mem drzew, śpiewem ptaków,
miłą wonią żywicy i ziół.
Z kępy paproci wyprysnął za-
jąc, pogonił za nim Burlaj ze
szczekaniem. Zagrodziła dzie-
wczynkom drogę dolina bez
drożki, z trawą po pas, szu-
miał tu strumyk, ledwo wi-
doczny spod brodatej zieleni.
A za doliną, na wzgórkach, już
zreby z borówkami.

O, było tych borówek, było!
A słodkie, a dobre. Basia jak
wiewiórka – to tu, to tam,
spory już kawałek odbiegła
od Anielki. Zbieranie jagódek
szło tak dobrze, jeszcze parę
garstek i koszyczek będzie

pelen. Za chwilę Basia pełna
uciechy, wola:

– Anielkoo! Anielkooo! Już
nazbleralam!

A Anielka odkrzykuje:

– Zaraz i ja skończę!

Basia schodzi żwawo ku
Anielce. Wtem przystanęła
nagle przerażona – przy pnia-
ku obok którego miała właś-
nie przebiec, z głową uniesio-
ną do góry leży wąż, lśniąca
w słońcu srebrzystą łuską.
Krzyknęła. Wąż, wijąc się,
posunął się w jej stronę.

Ale oto Burlaj wielkim su-
sem skoczył ku bosym nogom
dziewczynki...

Burlaju, Burlaju któż by po-
myślał, żeś taki dzielny...

W trawie gad z przetrąco-
nym zębami Burlaję grzbie-
tem leżał bez życia. Wzdłuż
jego srebrzystego ciała znaczy-
ła się zygzakowata pręga.

Była to żmija.

E. DRZEW.